

Podróż do Chin. Październik/listopad 2009

Andrzej Jajszczyk

24.10.2009 (sobota)

W piątek rano jedziemy taksówką na lotnisko Balice. Już po odprawie, przed bramką, spotykamy Krzysztofa Ingardena z córką Agatą. Rozmawiamy trochę o wczorajszym konkursie Archiszopy. Lecą do Paryża, ale do Frankfurtu lecimy tym samym samolotem. Samolot do Szanghaju odlatuje z niewielkim opóźnieniem, ale na miejscu jesteśmy na czas.

Dosyć sprawnie odprawiamy się na lot do Chongqing. Piękna, słoneczna pogoda, rękaw odsuwa się od samolotu, ale z jakichś powodów nie odlatujemy. Personel twierdzi, że nie wie kiedy odlecimy. W końcu podają nam lunch. Po dwóch godzinach stania na płycie, odlatujemy. Niezbyt długo po wylocie z Szanghaju ziemię zakrywają chmury. Po około dwóch godzinach lotu komunikat o podchodzeniu do lądowania. Białe chmury znikają. W pierwszej chwili mam wrażenie, że po prostu widać ziemię, ale po chwili zauważam, że to tylko chmury zmieniły kolor na czarno-szary. Wygląda na to, że prawdziwa jest reputacja Chongqing jako jednego z najbardziej zanieczyszczonych miast Chin. To miasto, które wraz całym zespołem metropolitalnym ma 33 miliony ludności, prawie nie istnieje w świadomości Europejczyków.

Ładujemy i zatrzymujemy się, o dziwo, pod nowocześnie wyglądającym terminalem międzynarodowym. Ale nie podłączają nas do rękawa, tylko po schodkach schodzimy na płytę lotniska i wsiadamy do dosyć obskurnego autobusu, który zawozi nas pod terminal krajowy. Pierwsze wrażenie okropne. Korytarze terminala lepią się od brudu. Odbieramy walizki i z Chińczykiem poznanym na pokładzie samolotu idziemy do autobusu, którym jedziemy do miasta. Chińczyk jest pracownikiem dużego miejscowego wydawnictwa i właśnie wraca z targów książki we Frankfurcie. Mówi świetnie po angielsku – wiele lat był dyplomatą w krajach afrykańskich. Gdy wysiadamy z autobusu, pomaga nam złapać taksówkę, co w godzinach szczytu jest nie lada wyzwaniem. Wcześniej nagabują nas tragarze z charakterystycznymi kijami i sznurami. Później widzimy ich wielokrotnie w mieście jak trzymając na karku tyczki przenoszą przywiązane do obu ich końców walizki, worki, czy sklepowe zakupy. Dojeżdżamy do naszego hotelu DLT. Taksówkarz ma wyraźnie niezadowoloną minę – zdaje się liczył na dłuższy kurs.

Pokój w hotelu jest ładny i wygodny. Hotel stoi przy „Hali Ludowej” i wygląda na to, że był kiedyś hotelem dla komunistycznych oficjeli. Podobnie jak Hala Ludowa detal architektoniczny naśladuje tutejszą tradycyjną architekturę drewnianą (oczywiście pałacową). Kolację jemy w hotelowej restauracji, w pokoiku dla VIP-ów. Świetne, chińskie dania, w tym dwa rodzaje pierożków, wieprzowina w sosie słodko-kwaśnym i warzywa zapiekane w cieście. Po kolacji idziemy na spacer w okolice hotelu. Gęsta mgła, później zaczyna padać deszcz. Oglądamy kiczowatą i ruchomą (!) rzeźbę komunistów (?) na Placu Ludowym, przechodzimy obok ulicznych restauracyjek i straganów.

25.10.2009 (niedziela)

Po dobrym chińskim śniadaniu idziemy do Muzeum Trzech Przełomów, dużego, nowoczesnego budynku zamykającego Plac Ludowy. Po drodze przechodzimy koło Hali Ludowej – wielkiej budowli nawiązującej do pekińskiej

Świątyni Niebios. Pogoda marna, pada słaby deszcz, a miasto spowija gęsta mgła. Wstęp do muzeum jest bezpłatny, a w środku sporo ludzi. Na początku oglądamy stałą wystawę Trzech Przełomów prezentującą piękne widoki, a także duże fragmenty skał i zabytki kultury przeniesione z terenów zalanych po budowie zapory. Zaglądamy też na wystawę z okazji 60-lecia Chińskiej Republiki Ludowej. Na wystawie głównie zdjęcia, w tym sporo propagandy. Kolejna ekspozycja jest poświęcona prehistorycznym ludom Ba i Yu. Bardzo ciekawa jest kolekcja starych i nowych chińskich monet, a także chińskiej porcelany. Oglądamy też wystawę współczesnego malarza chińskiego, nawiązującego do sztuki tradycyjnej.

Kolejką typu „monorail” jedziemy do centrum miasta, w rejon Jiefangbei. Plac z pomnikiem „Wyzwolenia Ludu”, to tutejszy odpowiednik nowojorskiego *Times Square*. O tyle przyjemniejszy, że dochodzące doń ulice są zamkniętymi dla ruchu samochodowego deptakami. Wokół nowoczesne domy towarowe ze sklepami znanych marek, z ogromnymi neonowymi reklamami. Pomnik, wyglądający jak latarnia morska, czy wieża zegarowa, otoczony jest bogatym kwietnikiem z lampami imitującymi świece. Całość ma wyglądać, i wygląda, na urodzinowy tort. Wchodzimy do paru sklepów.

Później zmierzamy, nieco gubiąc się w płątaniu ulic, w kierunku HongYaDong, dużego nowego kompleksu budowli w tradycyjnym chińskim stylu, zbudowanego na stromym stoku schodzącym do rzeki Jialing. Wrażenie „Disneylandu” potęgują atrapy statków i figury piratów. Kłopotliwa jest też komunikacja za pomocą jakby celowo niespójnego systemu wielu wind i schodów. W środku mnóstwo sklepów z lokalnymi pamiątkami, a także restauracji. Idziemy do restauracji Hong Ding, typu „gorący kociołek” (*hot pot*), która jest tutejszą specjalnością. Kociołki są tu indywidualne, więc Basia zamawia łagodny, a ja ostry. Do tego cienkie plasterki wołowiny i wieprzowiny, a także różne warzywa i grzyby. „Ostry” w historycznym Syczuanie, w którym jesteśmy, oznacza „piekielny”. Ale daję radę.

Idziemy znowu w kierunku centrum, zmierzając do stacji kolejki. Po drodze, ponad pół godziny spędzamy w ogromnej chińskiej księgarni. W lejącym deszczu docieramy do hotelu.

26.10.2009 (poniedziałek)

Po wczesnym śniadaniu opuszczamy z bagażami nasz hotel i taksówką jedziemy do nabrzeża nr 3 w porcie. Z pewnym trudem odszukujemy właściwe miejsce i oryginalną windę, po pochylni, zjeżdżamy nad brzeg rzeki Jialing. Lawirując z walizkami po zagraconym nabrzeżu i przechodząc przez inny statek docieramy w końcu na pokład naszego „Victoria Prince”. Tu lokujemy się w kabinie 404 na czwartym, najwyższym (poza poziomem obserwacyjnym) pokładzie. Kabina jest dosyć duża i wygodna, ze zgrabną łazieneczką, w której mieści się nawet wanna. Dostajemy miejsce przy okrągłym dziesięcioosobowym stole. Oprócz nas siedzi przy nim piątka studentów architektury z *University of Nebraska – Lincoln* i ich profesor Mark A. Hoistad, a także specjalista chorób oczu z Tybingi w Niemczech (Mr. Ziehr) i John Dowdell — specjalista od oprogramowania w firmie *Adobe* z San Francisco. Towarzystwo całkiem sympatyczne. Nasz statek rusza. Widać niewiele, bo pogoda paskudna, a to co widać na brzegach dosyć brzydkie. Z rzeki Jialing wpływamy na Jangcy.

Po lunchu wykład o rzece Jangcy. To trzecia co do długości rzeka świata (6380 km) po Nilu i Amazonce. Przewodnik ciekawie opowiada o historii

geologicznej rzeki. Mówi też o nazwach różnych jej odcinków. Całość nosi nazwę ChangJiang, czyli „Długa Rzeka”. O 16:00 recepcja powitalna kapitana. Przedstawiają nam załogę. Do tego przekąski i chińskie wino musujące. Rozmawiamy z dwójką starszych Chińczyków z Szanghaju. Oboje są profesorami fizyki. On specjalizuje się w laserach.

Ok. 17:00 cumujemy w Fengdu, sławnym w Chinach „mieście duchów”. Jest już ciemno, ponuro, mgliście, pada drobny deszcz. Przez bardzo długą zwodzoną kładkę dochodzimy do brzegu. Tu ładują nas do kilkunastoosobowych pojazdów elektrycznych, które przewożą nas kilkaset metrów. Przewodniczka mówi, że do jedynej w kraju „Świątyni Duchów” na wierzchołku góry jest siedemset nie oświetlonych stopni i namawia do wykupienia biletów na wyciąg krzeselkowy za 20 juanów od osoby. Prawie wszyscy postępują zgodnie z jej radą. Basia, po swoich ostatnich doświadczeniach z Chin jest sceptyczna. Postanawiamy pójść piechotą. Idziemy ostrym tempem. Okazuje się, że większość drogi jest dobrze oświetlona, a stopni jest nie więcej niż dwieście. Trasę do górnej stacji wyciągu pokonujemy w siedem minut i jesteśmy na miejscu przed naszą grupą. Świątynia, składająca się z wielu pawilonów, jest szalenie ciekawa. Według przewodniczki ma ok. 1600 lat i, w przeciwieństwie do ogromnej większości świątyń w Chinach, nie była nigdy zniszczona (potencjalni wandalę bali się duchów). Dużo ciekawych rzeźb zjaw i duchów; o niektórych z nich opowiada przewodniczka. Wrażenie potęguje ciemność i zła pogoda. Schodzimy z Basią do stóp góry również piechotą.

O 20:00 obiad. Rozmawiamy z naszym sąsiadem Niemcem. Okazuje się, że jest wielbicielem książek Ryszarda Kapuscińskiego – przeczytał je prawie wszystkie. Nie obce są mu również nazwiska Pendereckiego, Kieślowskiego, Urbaniaka i Dudziak, a także Komedy.

27.10.2009 (wtorek)

O 6:30 idziemy na poranną kawę do salonu „Jangcy”. Potem Basia ćwiczy Tai Chi, a ja obserwuję wschód słońca nad pięknymi górami, pośród których przepływa nasz statek. Ok. 8:40 wpływamy do pierwszego, najbardziej majestatycznego przełomu Qutang. Mamy duże szczęście – pogoda, mimo licznych chmur i mgieł – jest niezła i na przestrzeni ośmiu kilometrów możemy podziwiać piękne widoki. Robimy dużo zdjęć.

Po śniadaniu statek zatrzymuje się na przystani w Wushan, osiemdziesięciotysięcznym mieście, zbudowanym od nowa powyżej miasta istniejącego wcześniej, a zatopionego na skutek budowy Zapory Trzech Przełomów. Miasto jest brzydkie, pełne niezgrabnych, nastawianych jeden obok drugiego, bloków. Wrażenie robią za to obiekty infrastrukturalne, takie jak ogromne mosty, na ogół jeszcze w budowie. Wsiadamy na mniejszy statek turystyczny i ruszamy na rejs przez tzw. „Trzy Mniejsze Przełomy” na rzece Daning, dopływie Jangcy. Przepływamy wzdłuż imponujących pionowych i poprzewieszanych skał. Przed zalaniem tych wąwozów lustro wody było o kilkadziesiąt metrów niższe, a widoki bardziej spektakularne. Na stromych stokach widać świeżo nasadzone drzewka mandarynkowe. Miejscowy przewodnik intensywnie reklamuje swój album fotografii zrobionych na naszej trasie. Ciekawostką są „wiszące trumny”, w których dawno temu chowano tu ludzi, umieszczając zwłoki wysoko na skałach. Podobno w ten sposób ich dusze mogły szybciej dotrzeć do nieba. Niestety w czasie rewolucji kulturalnej zniszczono je prawie wszystkie, łącznie z licznymi tu buddyjskimi świątyniami. Przewodnik pokazuje nam jednak trzy ocalone dzięki

temu, że były bardzo trudno dostępne i niewidoczne z ówczesnego poziomu rzeki.

Przy ujściu niewielkiej rzeki Madu przesiadamy się na kilkunastoosobowe drewniane łodzie. Płyniemy ok. 20 minut w jej górę, podziwiając piękne widoki kolejnego, „mini” przełomu. Po drodze mijamy łódź, na której trzy kobiety śpiewają miejscowe piosenki. To pewnie atrakcja dla turystów, ale trzeba przyznać, że i piosenka ładna, i głosy bardzo dobre. Śpiewa też dla nas mały Chińczyk z załogi łodzi. Potem powrót na większy stateczek, a w końcu i na naszego Victoria Prince.

Po lunchu wpływamy do drugiego przełomu Wu, najdłuższego z trzech wielkich przełomów (45 km) i uchodzącego za najpiękniejszy. Przewodnik opowiada o nazwach poszczególnych wierzchołków i skał. Widoki rzeczywiście wspaniałe.

Po smacznym obiedzie, z dużym wyborem chińskich dań, dopływamy do Maoping i bez czekania w kolejce wpływamy do pierwszej z pięciu ogromnych śluz Tamy Trzech Przełomów. Tama to największe jak dotąd przedsięwzięcie hydroelektryczne w świecie. Pokonywanie wszystkich śluz zajmuje wiele godzin.

28.10.2009 (środa)

Budzimy się, gdy statek stoi zacumowany już poniżej tamy. Po wczesnym śniadaniu wychodzimy na brzeg i autobusami jedziemy na dwugodzinną wycieczkę. Podjeżdżamy przez długi wiszący most na drugi brzeg i po kontroli bezpieczeństwa wchodzimy na teren tamy. Oglądamy ją z obu stron, a także podziwiamy śluzę z punktu widokowego. Przy wielkiej makiecie całości przewodnik opowiada nam o budowie tamy i jej parametrach. Wracamy autobusem do przystani. Po drodze zwracają uwagę, prowadzone, na wielką skalę, prace przy zakładaniu parków wokół całego terenu. Gdy wysiadamy z autobusu, jesteśmy nagabywani przez miejscowe kobiety namawiające nas do kupienia chińskich strojów, książek, czy innych pamiątek.

Statek rusza dalej. Wkrótce wpływamy do ostatniego z Wielkich Przełomów Jangcy, przełomu Xiling, który kiedyś był uważany za najbardziej zdradliwy. Jest piękna, słoneczna pogoda, ale nad górami unoszą się charakterystyczne mgiełki. Malownicze góry, piękna zieleń, w górze latające orły. Na brzegach jeszcze trochę starych, wiejskich domków. Niestety w wielu miejscach widać jak w stromych zboczach nad rzeką wykuwa się nowe drogi, które psują dziewiczy charakter terenu.

Koło południa dopływamy do zapory Gezhouba, która jest co prawda o trzysta metrów dłuższa niż Zapora Trzech Przełomów, ale dużo niższa. Przez pojedynczą śluzę przepływamy na drugą stronę. W czasie lunchu płyniemy wzdłuż miasta Yichang. Sprawia dużo lepsze wrażenie niż miasta widziane wcześniej. Domy dużo ładniejsze, o niezłej architekturze. Sporo grup wieżowców o skoordynowanym wyglądzie i kolorach. Wzdłuż brzegów rzeki świeżo założone parki.

Jangcy rozszerza się. Na brzegach dużo zakładów przemysłowych, zarówno wyglądających na stare i prymitywne, jak i nowoczesnych. Widzimy kilka niewielkich stoczní, budujących statki do żeglugi po rzece. Gdzieś ładne skaliste brzegi pokryte zielenią. Po 14:00 idziemy zwiedzać mostek kapitański. Przewodnik opowiada o naszym statku, zbudowanym w 1994 roku i wyposażonym w dwa dieslowskie silniki o mocy 1320 KM każdy. Pokazuje nam

też przyrządy nawigacyjne. Próba przejęcia steru przez Basię nie powodzi się na skutek grzecznego sprzeciwu załogi.

Basia idzie na wykład o perłach słodkowodnych, potem uczy się chińskiego, a później uczestniczy w prezentacji na temat grawerowania w kamieniach. Brzegi rzeki robią się płaskie. Widać na nich mnóstwo prac związanych z ich umacnianiem, a także z sadzeniem drzew, głównie topoli.

Po smacznej kolacji „pokaz mody chińskiej”. W Yangtze Club osoby z załogi statku pokazują dawne i współczesne stroje chińskie, m.in. z okresów dynastii Han, Tang, Ming i Qing. Trzeba przyznać, że bardzo ładne.

29.10.2009 (czwartek)

Basia, jak zwykle rano, ćwiczy Tai Chi. Po śniadaniu idzie na lekcję chińskiego. Po lunchu dobijamy do brzegu w Wuhanie, stolicy Prowincji Hubei. Wychodzimy na ląd i jedziemy przez miasto. Wuhan powstało z trzech miast: Wu Chang, Han Kou i Hou Yang. Jedziemy najpierw wzdłuż Jangcy przez dawną kolonialną enklawę w Han Kou. Wzdłuż ulicy stoją dziewiętnastowieczne budynki w europejskim stylu. Przy nich współczesne wieżowce. Niektóre kompleksy mieszkaniowo-usługowe robią bardzo dobre wrażenie – niezła architektura, dobrze wpasowane funkcje handlowe, usługowe i rekreacyjne, starannie utrzymana zieleń. Przy brzegach rzeki wielki i ładny park. Przez wiszący most nad Jangcy przejeżdżamy do Wu Chang. Z okien autobusu widać duże hipermarkety, m.in. Walmart, i wielkie apartamentowce.

Wjeżdżamy na tereny z dużą ilością zieleni i docieramy do wielkiego Muzeum Prowincji Hubei. Początkowo boimy się, że nie będzie tam nic ciekawego. Jednak rzeczywistość jest dużo lepsza. Główny budynek zbudowany w 1953 roku, a odnowiony dwa lata temu, mieści sporo wystaw stałych i czasowych. Zaglądamy tylko do niektórych z nich. Największe wrażenie robi stała ekspozycja prezentująca znaleziska z grobowca chińskiego pana feudalnego króla Yi z państwa Zeng (Zeng Houyi). Grobowiec sprzed 2400 lat odkryto w 1978 roku. Poza sarkofagami i trumnami, można zobaczyć wspaniałą kolekcję naczyń z brązu, laki i złota, broń oraz fragmenty pojazdów. Wśród trumien są 23 zawierające szczątki młodych kobiet w wieku od 13 do 26 lat, prawdopodobnie służby, pochowanych wraz z władcą.

Trafiamy na wystawę malarstwa braci Gao i założonej przez nich szkoły artystycznej *Lingnan* – szczególnie piękne są górskie krajobrazy. Bracia Gao Jianfu i Gao Qifeng odegrali znaczącą rolę w modernizacji malarstwa chińskiego w pierwszej połowie XX wieku. Związani z ruchem narodowym Sun Yat-Sena dążyli do uczynienia sztuki malarskiej bliższej szerszym kręgom społeczeństwa, m.in. przez wprowadzenie motywów techniki, jak na przykład w znanym obrazie Gao Jianfu „Lecąc w deszczu” (patrz obok¹). Ważnym motywem w malarstwie Szkoły Lingnan są też wizerunki orłów i lwów. Artyści nie



¹ Pobrane ze strony:

http://www.colby.edu/art/AR273/week_12/gaojianfu2.jpg

porzucili jednocześnie tradycyjnych motywów malarstwa chińskiego. Znaczący wpływ na obu braci miały studia w Japonii, co przejawiało się w próbach przeniesienia na grunt chiński japońskiego stylu malowania *nihonga*. Trauma późniejszej agresji Japonii na Chiny znacznie utrudniła propagowanie tej formy ekspresji malarskiej.

Oglądamy też osobne ekspozycje chińskiej ceramiki z celadonu i porcelany, a także wystawę historii pisma chińskiego. Z tarasu na górnym piętrze muzeum widzimy kawałek wielkiego „Jeziora Wschodniego”. Swoją willę miał nad nim również Mao Tse-tung. Po dwóch godzinach wracamy na statek.

Statek rusza dalej. Tym razem mamy płynąć prawie dwadzieścia godzin bez przystanku, pokonując 493 km do Guichi. Jangcy jest teraz bardzo szeroka. Pływają po niej setki statków i barek. Brzegi są płaskie i obsadzone drzewami. Sporo miejscowości i zakładów przemysłowych.

Po kolacji pokaz tradycyjnych chińskich instrumentów muzycznych. Członkowie załogi, w tradycyjnych strojach, grają na nich z umiarkowaną biegłością. Świetny jest tylko flecista, grający na charakterystycznym flecie *hulusi (cucurbit flute)*, z prowincji Junan w południowych Chinach, zakończonym tykwą. Jest też mały pokaz opery syczuńskiej z bardzo sprawnym „zmienniczym twarzą”, sześć razy zmieniającym w niezauważalny sposób maski.

30.10.2009 (piątek)

Ok. 9:45 cumujemy przy brzegu w miejscowości Guichi. Przez bardzo przemysłowe nabrzeże przystosowane do załadunku kruszywa docieramy do autobusów. Jedziemy ok. dwóch godzin, najpierw przebudowywaną drogą, a potem porządną autostradą. Jest lekka mgła, ale okolica robi się coraz bardziej górzysta i piękniejsza. Mijamy kilka niezbyt ładnych miejscowości. W południe dojeżdżamy do dolnej stacji kolejki linowej Taiping w górach Huang Shan (Żółte Góry). To zadziwiająco piękne pasmo wpisane jest na Listę Dziedzictwa Światowego. Po niezbyt długim oczekiwaniu ruszamy chyba pięćdziesięcio-osobowym wagonikiem, podobno najdłuższą kolejką linową Azji (1200 m). Wokół roztaczają się przepiękne widoki na różowawe granitowe góry o niezwykle kształtach, porośnięte malowniczymi sosnami, a także innymi drzewami i krzewami o późnojesiennych kolorach. Przy górnej stacji kolejki, „Stacji Czerwonych Chmur”, odłączamy się od naszej grupy, rezygnując ze wspólnego lunchu, aby zobaczyć więcej górskich krajobrazów. Ruszamy szybkim krokiem ścieżką wiodącą koło hoteli Xihai i Beihai. Po drodze widzimy mostki z setkami przypiętych do balustrad kłódek. Chińczycy w ten sposób demonstrują swoją wieczną miłość. Wchodzimy na dwa wierzchołki malowniczej skały „Szczyt Początku Wiary”. Z obu zapierające dech widoki na okoliczne szczyty i doliny. Na szczęście pogoda nam sprzyja. Schodzimy z wierzchołka i przegryzamy prowiant, który wzięliśmy ze śniadania.

Wracamy w okolice górnej stacji kolejki Taiping, ale przed dojściem do niej skręcamy an ścieżkę prowadzącą w kierunku „Wielkiego Kanionu”. Po drodze mijamy naszą grupę. Widoki na głęboko wciętą dolinę są oszałamiające. Schodzimy głęboko w dół, przechodząc przez korytarze przecinające skały i wąskie skalne szczeliny. Dochodzimy do punktów widokowych przy rozgałęzieniu szlaków, jeszcze parę zachwyty nad krajobrazami i kilka fotografii, i musimy szybkim krokiem wracać stromo pod górę by zdążyć na spotkanie z grupą przy stacji kolejki wyznaczone na 16:00. Przychodzimy dziesięć minut przed czasem. W dobrych nastrojach zjeżdżamy w dół. Tam wsiadamy do autobusu i po ponad

dwóch godzinach dojeżdżamy do naszego statku zacumowanego przy brzegu Jangcy. Pierwsza część podróży przez gęste bambusowe gaje z widokami na piękne góry, wąwozy i strumienie z wodospadami jest szczególnie piękna.

Po kolacji w Yangtze Club prezentacja strojów ludowych mniejszości narodowych Chin. Stroje bardzo ładne, zróżnicowane i sympatycznie pokazane.

31.10.2009 (sobota)

Ok. 6:00 rano przyplływamy do Nankinu. Cumujemy blisko dwupoziomowego mostu nad Jangcy, o długości 6772 m, wybudowanego w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Gdy Basia ćwiczy Tai Chi wschodzi słońce.

Po śniadaniu jedziemy autobusami do Mauzoleum Sun Yat-Sena położonego w wielkim i pięknym parku na stoku góry w paśmie Zhongshan, niedaleko od grobowca pierwszego cesarza z dynastii Ming. Miasto zamieszkałe przez ponad siedem milionów mieszkańców bardzo zmieniło się od czasów kiedy byłem tu 22 lata temu. W wielu miejscach wyrastają imponujące wieżowce, a tysiące rowerów na ulicach zastąpiły samochody. Urosły znacznie platany sadzone wzdłuż wielu ulic. Przybyło też zabytków. Chińska doktryna konserwatorska jest, delikatnie mówiąc, łagodna i w całym kraju trwa odbudowa świątyń, pałaców, murów miejskich i innych zabytków zniszczonych w czasie rewolucji kulturalnej, a czasami i wcześniej. Trwa m.in. odbudowa części murów miejskich Nankinu, liczących niegdyś 35 km długości.

Po wejściu na teren parku, odłączamy się od grupy i idziemy po 392 stopniach do mauzoleum. Gdy Sun Yat-Sen umarł w latach dwudziestych ubiegłego wieku, tyle właśnie milionów mieszkańców liczyły Chiny. W pierwszej sali znajduje się duży pomnik pierwszego prezydenta Republiki Chińskiej, a w kolejnej sarkofag z leżącą na wierzchu, wykutą w kamieniu postacią. Ciało, w miedzianej trumnie, leży pięć metrów niżej. Wszędzie tłumy ludzi, głównie Chińczyków. Wchodzimy jeszcze do ogrodu znajdującego się na tyłach mauzoleum, a następnie schodzimy schodami w dół.

Czekając na resztę grupy, zaglądamy do sklepu z pamiątkami. Basia ogląda wisior z pięknego jadeitu. Cena na metce to prawie 6 tys. juanów (ok. 1 tys. dolarów amerykańskich). Sprzedawczyni oferuje od razu o połowę niższą. Potem obniża jeszcze bardziej; do dyskusji włącza się menedżer sklepu, który proponuje dalsze obniżki. Gdy nie kupujemy wisiora i wychodzimy ze sklepu wybiega za nami menedżer i proponuje cenę 600 juanów, czyli prawie dziesięciokrotnie niższą niż cena początkowa. Gdy i tym razem rezygnujemy z zakupu, wychodzi do nas sprzedawczyni i pyta jaką cenę proponujemy. Ale i tym razem nie udaje się jej nic wskórać. Wiadomo – krakowscy centusie ☺.

Wracamy autobusem na statek. Po lunchu kolejna wycieczka, tym razem na bazar w stylu dynastii Qing. Kiepsko się czuję i postanawiam zostać na statku. Na wycieczkę jedzie tylko Basia. Poza bazarem zwiedza świątynię Konfucjusza i słucha koncertu muzyki na dzwonach. Po jej powrocie oglądamy film wideo nakręcony przez personel w czasie naszej podróży.

O 19:00 bankiet pożegnalny. Na stołach pojawia się chińskie wino musujące. Kelnerki w strojnych sukniach. Amerykańscy studenci z naszego stołu przychodzą ubrani w stroje na *Haloween*: elfa, pirata, wiedźmy. Atmosfera jest bardzo dobra zanim szefostwo rejsu nie oznajmia, że z powodu bardzo silnego wiatru nasz statek nie ma pozwolenia na płynięcie do Szanghaju. Dlatego też jutro wcześniej

rano mamy pojechać tam autobusami. Nastrojów nie poprawia *halloweenowy* tort.

Po bankiecie „kabaret” w Victoria Prince. Oglądam tylko kawałek, potem idę do pokoju by spakować rzeczy.

1.11.2009 (niedziela)

Śniadanie o 6:00. Godzinę później opuszczamy statek i wsiadamy do autobusów, które ruszają w kierunku Szanghaju. Jedziemy dobrą i niezbyt zatłoczoną autostradą o czterech pasach ruchu w każdą stronę. Oglądamy liczne miejscowości, w których powstaje mnóstwo nowych budynków, zarówno mieszkalnych jak i przemysłowych. Zwraca uwagę wielki nakład środków na tworzenie bardzo starannie, i na ogół bardzo ładnie, zaplanowanych pasów zieleni oddzielających autostradę od reszty terenów. Od Shuzhou właściwie już cały czas jest miasto. Przejeżdżamy praktycznie cały Szanghaj by dotrzeć w pobliże doków nad Jangcy. Imponująca liczba wielkich apartamentowców, niektóre z nich całkiem ładne. Między nimi niezbyt duże, ale bardzo eleganckie tereny zielone. Po prawie pięciu godzinach jesteśmy na miejscu. Przesiadamy się na taksówkę i docieramy do naszego hotelu *Everbright Convention Hotel* w dzielnicy Xuhui przy ul. Cao Bao 66. Hotel jest ogromny i dosyć pretensjonalny. Dają nam pokój, podobno typu *deluxe*, który okazuje się ciemnym betonowym pudłem z oknem na ślepa ścianę innego skrzydła hotelu. Basia zjeżdża do recepcji i w rezultacie przenosimy się do ładnego, jasnego pokoju na siedemnastym piętrze, z niezłą, bezpośrednio oświetloną łazienką.

Przed 14:00 wychodzimy z hotelu by coś zjeść. Menu restauracji hotelowej nie zachęca do tego. Zniechęcają nas też skrzywione miny personelu. Wchodzimy do restauracji na pobliskiej ulicy. Jest pustawo, ale menu wygląda interesująco. Zamawiamy m.in. wieprzowinę w bambusie. Mamy jednak kłopot z dostaniem się do mielonego mięsa w środku twardych pędów. Basia pyta po chińsku kelnerkę, jak to zrobić. Ta pokazuje nam jak można pałeczkami sprawnie rozłupać pęd na dwie części. Nam nie idzie to tak dobrze – Basia łamie nawet plastikową pałeczkę. Ale jakoś sobie radzimy, a nadzienie pędu bambusa jest bardzo smaczne. Później mały spacer po okolicy. Zaglądamy do sklepów, oglądamy małe restauracyjki. Wracamy do hotelu, sprawdzamy e-maile, rozpakowujemy się.

Późnym popołudniem wychodzimy by coś przekąsić przed snem. Mam ochotę na pierożki na parze. Niestety punkt, który upatrzyliśmy sobie wcześniej właśnie zamknięto. Zaglądamy do paru lokali, ale tam nie ma pierogów. Decydujemy się więc na niezbyt dobrze wyglądający bar szybkiej obsługi, blisko naszego hotelu. Wybór był rzeczywiście kiepski – pierogi wstrętne i zimne. Nie rekompensował tego miły personel, z którym Basia kontaktowała się swoją niezbyt biegłą chińszczyzną. Wracamy do hotelu i pijemy zieloną herbatę.

2.11.2009 (poniedziałek)

Noc koszmarna. Łóżko jest tak twarde, że narzeka nawet Basia, którą dotychczas podejrzewałem, że z radością spałaby na stalowej płycie. Idziemy na hotelowe śniadanie. To kolejna katastrofa – makaron i warzywa zimne, sok pomarańczowy to leciutko zabarwiona na żółto woda, coś co nazywają „dim sum”, to jakieś koszarne kluchy ze źle zrobionego francuskiego (!) ciasta. Do tego skrzywieni i słabo responsywni kelnerzy i kelnerki.

Po śniadaniu Basia jedzie do chińskiego lekarza, a ja przygotowuję się do mego kursu. Czterogodzinny kurs nt. „Resilience of Multilayer IP over Optical

Networks" w ramach konferencji *2009 Asia Communications and Photonics Conference and Exhibition ACP* rozpoczyna się o 14:00. Na początku zamieszanie, bo organizatorzy źle podają numery sali, w której ma się odbyć. Udaje mi się jednak rozpocząć punktualnie. Na sali sami Chińczycy, chociaż część z nich przyleciała z Ameryki Północnej. Idzie nieźle, jest sporo sensownych pytań. Przez kilka minut są problemy z rzutnikiem, ale udaje się je rozwiązać.

Na 19:00 idziemy z Basią na „ACP Chairs' Reception". Wyjątkowo skromnie – kiepskie jedzenie (jak to w naszym hotelu). Podają słabe chińskie piwo i bardzo przeciętne czerwone wino *Great Wall*.

3.11.2009 (wtorek)

Śniadanie kiepskie jak wczoraj. Ale za to piękna, chociaż chłodna, pogoda. Jedziemy taksówką na przystanek autobusowy obok wielkiego stadionu niezbyt odległego od naszego hotelu. Stamtąd autobusem przez ponad dwie godziny jedziemy do Wuzhen – jednego ze słynnych chińskich wodnych miast. Sporą część drogi pokonujemy nowoczesną autostradą, ale jedziemy też lokalnymi drogami przez mocno uprzemysłowione wioski. Dużo kontrastów – fabryki w różnym stanie, starannie utrzymane tereny zielone, a obok śmietniska, rozwalające się domy, przy nich pretensjonalne, nowobogackie wille. W końcu docieramy do Wuzhen. Wchodzimy do jego wschodniej, oryginalnie zachowanej, części. Wzdłuż rzeki, na przestrzeni dwóch kilometrów, ciągną się nieduże, na ogół jednopiętrowe, domy częściowo murowane, a częściowo drewniane. Nadal mieszkają w nich ludzie, ale całość jest zamieniona na coś w rodzaju skansenu. Przechodzimy przez „Podwójny Most” na północną stronę rzeki. Zwiedzamy nadspodziewanie ciekawe muzeum chińskich łóżek. To często prawdziwe dzieła sztuki. Oglądamy tradycyjne warsztaty tkackie (Basia nawet próbuje swoich sił przy krośnie), farbiarnię na kolor indygo, pracującą destylarnię wina ryżowego, czy stary lombard. Ciekawe są dawne rezydencje, jak pochodząca z okresu dynastii Qing, rezydencja Mao Duna. Spore wrażenie robi wystawa dawnej snycerki; dużo gorsza jest kolekcja banknotów i monet.

Wczesnym popołudniem jemy lunch. Nie bardzo możemy dogadać się z personelem i w rezultacie na naszym stole lądują niekoniecznie te potrawy, które mieliśmy na myśli. Niespodzianką okazują się, na przykład, małe kuliste kluski w winie ryżowym (ale bardzo smaczne). Wędrujemy dalej wąskimi, uroczymi uliczkami, zwiedzamy taoistyczną świątynię Xiuzhen, docieramy też do części nieturystycznej – mocno zaniedbanej i brudnej. Na końcu siadamy w niewielkiej, sympatycznej herbaciarni, z której oglądamy pokaz kung-fu odbywający się na barce zakotwiczonej przy brzegu.

O 16:10 ruszamy autobusem w drogę powrotną. Jedziemy ok. trzech godzin, bo na autostradzie i w Szanghaju jest mnóstwo korków. Mimo bardzo dobrych dróg, żywiołowy rozwój motoryzacji źle rokuje Chinom. Strach pomyśleć co będzie za kilka lat, gdy na ulice wyjedzie jeszcze więcej samochodów.

Przez spóźnienie docieramy na sam koniec recepcji powitalnej konferencji ACP. Mamy okazję jednak spotkać naszych dobrych znajomych, m.in. Biswanatha Mukherjee z *University of California, Davis*, czy Lenę Wosińską i Larsa Thylena z *Royal Institute of Technology* w Sztokholmie. Rozmawiam także chwilę z George Rouskasem z *Georgia Tech*. Udaje się nam też co nieco przekąsić.

4.11.2009 (środa)

Po śniadaniu pakujemy się, a ok. 10:00 opuszczamy hotel, zostawiając w nim jedynie bagaże. Jest piękna słoneczna i ciepła pogoda. Piechotą idziemy do stacji metra Cao Bao i stamtąd linią nr 1 dojeżdżamy do Placu Ludowego.

Przez pięknie utrzymany park dochodzimy do *Museum of Contemporary Art Shanghai* (MoCA). To istniejące od niedawna, prywatne muzeum mieści się w trójkondygnacyjnym szklanym budynku, który wcześniej był oranżerią. Oglądamy wystawę pt. „The Fifth Dimension: Art of Fiber and Space”, na której prezentowane są prace profesorów i uczniów *Studia Włókna i Przestrzeni* (*Fiber and Space Art Studio*) Wydziału Rzeźby Chińskiej Akademii Sztuki. Wystawa jest dedykowana, urodzonemu w Bułgarii, prof. Marynowi Varbanov (Wall Man) z Instytutu Badawczego Gobelinów Chińskiej Akademii Sztuki.



Blisko wejścia intrygująca praca „Mortal Life Sciences” wykonana z czarnej bawełnianej włóczki². Przedstawia długi pochód kilkunastocentymetrowych postaci oplątanych jakby pajęczyną. Spora instalacja Li Dian pt. „Private Life” to zestaw sześciu zdeformowanych rowerów oplecionych tkaninami i wspieranych przez złożone parasole. Całość robi dosyć nieprzyjemne wrażenie. Kolejne dzieło, przypominające

kanapę, pt. „Life Affairs” autorstwa Jin Lin jako żywo przypomina mi prace Marii Pinińskiej-Bereś, tyle że w nieco większej skali. Z podobnych materiałów korzysta Zhou Hui w dużej pracy „Hangnails in Pink”.



Fu Yan robi z materiału imitacje pierożków i innych chińskich potraw na parze w dwóch pracach nt. „Appetite Series (I i II)”.



² Wszystkie zdjęcia z wystawy „The Fifth Dimension” pochodzą ze strony <http://www.artlinkart.com/exhibition/overview/ab9awtor?x=s&a=ongoing&b=01>

Oryginalny i wielowymiarowy charakter ma kompozycja Huang Zhe pt. „Shopping”. To pełno pudełek i innych srebrzystych opakowań porzucanych do wózka na zakupy i porzuczanych wokół niego. Od wózka odchodzą wiązki różnokolorowych promieni z cienkich pasemek materiału. Wiązki te wychodzą poza podstawową kondygnację.



Ciekawa jest praca Wang Zhengonga pt. „Hair Affairs II”. To coś w rodzaju prawie trzymetrowej konstrukcji w kształcie klatki na ptaki z której wychodzą kolorowe, pomarszczone trąby. Podejście do instalacji powoduje, że z trąb wydobywają się dziwne głosy.

Zhan Jun zrobił pracę ze srebrzystego drutu, gdzie grube jego wiązki rozchodzą się na wszystkie strony i drapieźnie się rozczapierzają. Pracę tę nazwał „Nightmare”.



Nieco niezrozumiały tytuł „Inside.Out.com” ma cykl pięciu prac Huang Yan. Do zrobionych z przezroczystego pleksi imitacji przodów męskich koszul przymocowane są wykonane z różnokolorowych tkanin przedmioty będące czymś w rodzaju trójwymiarowych krawatów. Tu znów przychodzą mi na myśl prace Pinińskiej-Bereś. Natomiast przestrzenna kompozycja Ying Nihui z czerwonej wełny, pt. „Scarlet” kojarzy mi się z pracami Magdaleny Abakanowicz.



Bardziej konwencjonalny charakter mają długie wstęgi białego, lekko przezroczystego, jedwabiu z naniesionymi fragmentami krajobrazów pędzla dawnych chińskich mistrzów. Pracę Shan Zeng’a zatytułowano „Ink Elements I”. Ten sam autor stworzył instalację pt. „Phenomenon N-19”, w której dwa wentylatory nawiewają białe pierze do sporego prostokątnego pokoju, na ścianach świecą różnokolorowe neonowe cyfry.

Bardzo „abakanowiczowska” jest instalacja sześciu korpusów wykonanych z utrwalonych czymś taśm bezbarwnego jedwabiu (Wang Fei, „Absence”). Zamiast głów wstawiono okrągłe lusterka. Xu Jia w cyklu prac pod wspólnym tytułem „Cityscape” próbuje odwzorować kolorowe zdjęcia lotnicze fragmentów miast w miniaturowe rzeźby z kolorowego drutu. Rzeźby te znajdują się w drewnianych pudełkach, na wewnętrznych stronach wiek naklejono niewielkie fotografie miast, natomiast w samych pudełkach, na czymś w rodzaju przezroczystych kryształów (szkło?), znajdują się niewielkie konstrukcje trójwymiarowych rzeźb.



Wang Zhijian w pracy „No. 59” umieszcza na wierzchu dużego bębna o średnicy ok. 1,5 m dziesiątki nadętych i podświetlonych, przezroczystych, jednorazowych rękawic. Również świetlny charakter ma praca Lin Changwen pt. „Current of Incurrence”, w której na dużym, leżącym na ziemi kolistym szkielecie wystające i podświetlone włókna tworzą intrygujące białe okręgi. W instalacji Ying Xinxung pt. „Urban Fragments” wykorzystano stare meble

(komodę, toaletkę z lustrem i szafę). Meble pokrywają płyty plastiku, tworząc coś w rodzaju „trwałego kurzu”.

Wu Liazhen stworzył sporych rozmiarów rzeźbę z białego materiału i piór pt. „Toxin”, w której nad czymś w rodzaju rozlewającej się przestrzennej plamy unoszą się skrzydełka aniołów. Praca Song Chunyang pt. „Perceptions”, to zestaw dziwnych stworów zrobionych z fragmentów poliuretanowych lalek i futra, przywodzący mi na myśl prace Aliny Szapocznikow.



W osobnym zaciemnionym pomieszczeniu znajduje się złociste dzieło Shi Hui pt. „Floating shadows and walls”, tworzące podświetloną, pomarszczoną, ale przyjazną ścianę.

Na najwyższej kondygnacji znajduje się ładna, wyglądająca dyzajnarsko, kawiarnia z tarasem pozwalającym spojrzeć na Park Ludowy i otaczające go wieżowce.

Z Parku Ludowego dochodzimy do Nanjing Road – najbardziej reprezentacyjnego deptaka Szanghaju. Eleganckie i drogie sklepy, banki, restauracje. Starannie zaprojektowana i przemyślana mała architektura, a do tego tłumy ludzi. Co chwila zaczepia nas ktoś proponując tanie zegarki Rolex, torebki Louis Vuitton, czy markowe perfumy – jak się można domyślać – podrobione. Dochodzimy do rzeki Huang Pu. Niestety widok na imponującą dzielnicę wieżowców Pudong na drugim brzegu przysłaniają płoty, za którymi toczą się prace budowlane. Szanghaj chce zabłysnąć w czasie przyszłorocznego Expo, podobnie jak to zrobił Pekin w czasie Olimpiady.

Idąc wzdłuż przyciężkawych i pretensjonalnych budynków Bundu, zbudowanych głównie przez Europejczyków i Amerykanów w pierwszej połowie dwudziestego wieku, przedzieramy się przez zatłoczone ulice i place budów w kierunku ogrodów Yuyuan. Zaglądamy przy okazji do licznych sklepików z towarami na każdą kieszeń. Wreszcie dochodzimy do dzielnicy powstałej u schyłku dynastii Qing, a teraz zamienionej w wielkie centrum handlu i rozrywki. Domy, często wielokondygnacyjne, zachowały oryginalny, chiński charakter, z łukowatymi krawędziami krytych dachówką dachów.

Odnajdujemy most „o dziewięciu zakrętach”, znany nam już z zeszłorocznego pobytu, a niedaleko od niego słynną restaurację „Nanxiang” ze wspaniałymi pierogami przygotowywanymi na parze. Jak zwykle stoi do niej kolejka. Udaje się nam jednak dostać stolik całkiem szybko. Zamawiamy dwa duże zestawy z zupami, zimnymi przystawkami, no i oczywiście różnymi rodzajami pierogów. Prawdziwa rewelacja!

Chodzimy trochę po sklepach. Basia kupuje m.in. piękną chińską jedwabną sukienkę zbijając cenę ponad siedmiokrotnie w stosunku do ceny początkowej! Zwiedzamy też sklep z antykami i galerię Hua Yi Tang. Piękne dzieła sztuki z okresów dynastii Ming i Qing. Cenowo na ogół zdecydowanie poza naszym zasięgiem. Oglądamy meble, rzeźby w drewnie i kości, a także obrazy chińskich mistrzów.

Basia rozmawia z panią z punktu informacji. Ta poleca nam dobrą herbaciarnię *Pear Garden* (?) i wręcz zawozi nas na najwyższą kondygnację pobliskiego budynku (sami byśmy tej windy nie znaleźli). Z góry wspaniały widok na Pudong i handlową dzielnicę Yuyuan. Sympatyczna młoda Chinka demonstruje nam wiele gatunków herbat, w tym herbat leczniczych. Pijemy trochę każdej z nich. Basia kupuje dwa rodzaje. Później siedzimy na tarasie i obserwujemy piękne widoki na Szanghaj w czasie zapadającego zmierzchu.

Idziemy piechotą do Nanjing Road, a potem idąc wzdłuż rozświetlonego neonami deptaka dochodzimy do stacji metra przy Placu Ludowym. Stamtąd jedziemy metrem do stacji Cao Bao, idziemy do naszego hotelu, w którym odbieramy bagaże i taksówką jedziemy na lotnisko.

Odprawa przebiega sprawnie, ale gdy wsiadamy do samolotu okazuje się, że musimy czekać na start prawie półtorej godziny. Ponieważ na przesiadkę w Monachium mieliśmy mniej niż godzinę, myślę, że nasz poranny lot do Krakowa nie będzie możliwy. Nie jest jednak tak źle – okazuje się, że nadrobiliśmy trochę w czasie lotu. W Monachium biegniemy do naszej bramki i zdążamy. Kraków wita nas deszczem i mgłą.